

P E T E R E N G L U N D

P U N K T
Z W R O T N Y

L I S T O P A D

1942

40 OSOBISTYCH HISTORII
Z NAJWAŻNIEJSZEGO MIESIĄCA
II WOJNY ŚWIATOWEJ

HI:STORY

P U N K T
Z W R O T N Y

P E T E R E N G L U N D

P U N K T
Z W R O T N Y

L I S T O P A D
1942

40 OSOBISTYCH HISTORII
Z NAJWAŻNIEJSZEGO MIESIĄCA
II WOJNY ŚWIATOWEJ

TŁUMACZENIE EWA WOJCIECHOWSKA

HI:STORY
KRAKÓW 2023

Tytuł oryginału: *Onda nätters drömmar. November 1942 och andra världskrigets vändpunkt i 360 korta kapitel*

© Peter Englund, 2023

The cost of this translation was supported by a subsidy from the Swedish Arts Council, gratefully acknowledged.

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2023

Copyright © for the translation by Ewa Wojciechowska

Wydawca prowadzący: Szymon Langowski

Redaktor prowadzący: Anna Małocha, Dagmara Małysza

Przyjęcie tłumaczenia: Agata Teperek

Konsultacje merytoryczne (terminologia wojskowa / militarna):
prof. dr hab. Paweł Jaworski

Opracowanie typograficzne książki: Wydawnictwo Otwarte

Adaptacja makiety na potrzeby wydania: Robert Oleś / dzd.pl

Przygotowanie wkładek do druku: Atelier 2

Prawa do fotografii na wkładkach zostały udzielone Wydawnictwu Otwartemu przez Peter Englund c/o Hedlund Literary Agency

Adiustacja i korekta: dzd.pl

Łamanie: To znowu ja

Projekt okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Źródło fotografii na okładce: Alamy/BE&W

ISBN 978-83-8135-354-0

HI:STORY

www.wydawnictwohistory.pl

Dystrybucja: siw Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Pamięci Józefa Lewandowskiego
i innych napotkanych przeze mnie na przestrzeni lat,
którzy tam byli i doświadczyli tamtych dni.*

Do czytelnika

Książka ta opowiada o listopadzie 1942 roku, okresie postrzeganym jako moment przełomowy II wojny światowej; z początkiem owego miesiąca wielu wyrażało przekonanie, że państwa Osi zwyciężą, a gdy dobiegał on końca, stało się jasne, że ich przegrana jest wyłącznie kwestią czasu. Zarazem nie jest to lektura próbująca odpowiedzieć na pytanie, czym była tamta wojna podczas owych czterech krytycznych tygodni – jakie były jej założenia, plany, przebieg i skutki – stara się raczej opisać, jak wyglądał tamten czas.

Fenomen II wojny światowej zawsze będzie nam w jakimś sensie umykał. W dużej mierze wynika to ze skali. To oczywiste, że konfliktu, który trwał tyle lat, objął tak duże części świata, spowodował tyle zniszczeń i odebrał życie tylu ludziom, nie da się ogarnąć w całości rozumem. Ponadto nie można go również pojąć dlatego, że w jego ramach doszło do potworności przechodzących ludzkie wyobrażenie, przekraczających nasze wartości, a nawet umiejętność opisanie ich słowami. A to nie koniec komplikacji. Primo Levi pisze: „Ci, którzy spojrzeli w twarz Gorgony, nie wrócili lub wrócili niemi”. Po latach spotkań i rozmów z ludźmi, którzy przeżyli tę wojnę, wywnioskowałem, że wszyscy wynieśli z niej tajemnice, wyparte lub przemilczane, i owe tajemnice umarły razem z nimi.

Fakt, że tak trudno to wszystko opisać, nie oznacza jednak, że nie warto podjąć takiej próby. Wręcz przeciwnie. Należy zdobyć się na ten wysiłek, zarówno przez wzgląd na nas samych, jak i tych, którzy zginęli w tej wielkiej katastrofie. Książka ta jest właśnie taką próbą. Mógłbym motywować jej powstanie argumentem, że stara się ona przedstawić temat w nieco inny sposób. Brak jej wyraźnych ram, umyka temu, co historyk literatury Paul Fussell określił mianem „modelu opowieści przygodowej” (*the adventure-story model*), przypisującej „przypadkowym bądź poniżającym wydarzeniom jasny i zazwyczaj szlachetny cel”. Jej formę, podobnie jak w przypadku mojej poprzedniej powieści o I wojnie światowej, tworzy splot biografii. Lecz mimo to w centrum stoi indywidualny człowiek, jego przeżycia, a przede wszystkim jego uczucia – wszystko, co być może da się wyczytać z przypisów, co czasem pojawia się jak przelotny kolorowy błysk w przytłaczającym strumieniu opowieści, lecz przeważnie pozostaje niezauważone. A tym, którzy się zastanawiają, co sam dopisałem do owych nierzadko niedyskretnych historii, odpowiadam prosto: nic. Źródła, z których korzystałem, są aż nadto bogate.

W kontekście historiografii książka ta ma formę eksperymentalną. Wynikła ona jednakowoż z założenia, że złożoność zdarzeń przejawia się najdobitniej na poziomie indywidualnym. Jest w tym pewien mroczny paradoks. Wielu z tych, którzy walczyli w I wojnie światowej, kierowało się ideałami pozbawionymi zakorzenienia w rzeczywistości: walczyli o wyobrażenia. II wojna światowa była owego idealizmu w dużym stopniu pozbawiona, choć tym razem gra toczyła się o nieporównywalnie większą stawkę. Spowodowało to swego rodzaju napięcie między przekonaniem, po co toczy się ową wojnę, a jej osobistym doświadczeniem, między jej szczytnymi celami a rzeczywistością, będącą nierzadko, jak określił to noblista John Steinbeck, próbując podsumować swoje przeżycia, „oblędną, historyczną potwornością”¹.

A zarazem działo się również coś innego. Dziś wiemy, że naprawdę toczyła się wówczas walka między barbarzyństwem a cywilizacją i że w listopadzie 1942 roku ów konflikt postawiono na ostrzu noża; zapewne spora część jego uczestników zdawała sobie z tego sprawę. Wiadomo, jaką ludzkość poniosła ofiarę. Założenie, że wynik tej wojny był przesądzony, to błąd. I nie tylko z uwagi na fakt, że wówczas owa ogromna ofiara zostaje zredukowana do czegoś na kształt technicznego szczegółu, ale również dlatego, że takie podejście zmienia tę nieobliczalną i nieprzewidywalną w skutkach ludzką katastrofę w ekscytującą, lecz u gruntu niegroźną epicką opowieść. Może ono także doprowadzić do powstania niebezpiecznej iluzji, że to się już nie powtórzy, powodując wręcz odwrotny skutek.

Uppsala, pewnego słonecznego sierpniowego ranka 2021 roku

PE

*Śniliśmy w dzikie noce
Sny gęste i okrutne
Śnione duszą i ciałem:
Wrócić, zjeść, opowiedzieć.
Aż padał krótki głuchy
Rozkaz o świecie:
„Wstawać”;
I w piersi pękało serce.*

*Teraz odnaleźliśmy dom,
Nasz brzuch jest syty,
Skończyliśmy opowiadać.
Jest czas. Niedługo znów usłyszemy
Obcy rozkaz:
„Wstawać”².*

Primo Levi*

* Levi napisał ten wiersz 11 stycznia 1946 roku, gdy zbliżała się rocznica jego wyzwolenia z obozu w Auschwitz. We włoskim oryginale użył wykrzykiwanego w obozie polskiego słowa „Wstawać”.

Dramatis personae

- Mansur Abdulin – szeregowiec piechoty pod Stalingradem, 19 lat
- John Amery – faszysta i dezterter w Berlinie, 30 lat
- Hélène Berr – studentka uniwersytetu w Paryżu, 21 lat
- Ursula Blomberg – uciekinierka w Szanghaju, 12 lat
- Vera Brittain – pisarka i pacyfistka w Londynie, 48 lat
- John Bushby – strzelec pokładowy bombowca Lancaster, 22 lata
- Paolo Caccia Dominioni – major, spadochroniarz w Afryce Północnej,
46 lat
- Albert Camus – pisarz z Algierii Francuskiej, przebywający w Le Panelier,
29 lat
- Keith Douglas – porucznik, czołgista w Afryce Północnej, 22 lata
- Edward „Weary” Dunlop – lekarz wojskowy i jeniec wojenny na Jawie,
35 lat
- Danuta Fijałkowska – matka i uciekinierka w Międzyrzeczu Podlaskim,
20 lat
- Lidia Ginzburg – nauczycielka akademicka w Leningradzie, 40 lat
- Wasilij Grossman – korespondent wojenny „Krasnej Zwiezdy”
w Stalingradzie, 36 lat
- Tameichi Hara – dowódca niszcyciela u wybrzeży Guadalcanalu, 42 lata
- Adelbert Holl – porucznik piechoty w Stalingradzie, 23 lata
- Wiera Inber – poetka i dziennikarka w Leningradzie, 52 lata

Ernst Jünger – oficer i literat, w drodze na front wschodni, 47 lat
Ursula von Kardorff – dziennikarka w Berlinie, 31 lat
Nella Last – gospodyni domowa w Barrow-in-Furness, 53 lata
John McEniry – pilot bombowca na Guadalcanalu, 24 lata
Okchu Mun – niewolnica seksualna w japońskim domu publicznym
w Mandalaju, 18 lat
Nikołaj Obryńba – partyzant w Białorusi, 29 lat
John Parris – korespondent wojenny opisujący lądowanie aliantów
w Algierii, 28 lat
Lim Poon – steward na brytyjskim statku handlowym, 24 lata
Jechiel „Chil” Rajchman – więzień w obozie zagłady w Treblince, 28 lat
Willy Peter Reese – szeregowiec piechoty na froncie wschodnim, 21 lat
Dorothy Robinson – gospodyni domowa na Long Island, 40 lat
Ned Russell – korespondent wojenny opisujący walki w Tunezji, 26 lat
Sophie Scholl – studentka uniwersytetu w Monachium, zamieszkała w Ulm,
21 lat
Jelena Skriabina – matka dwójki dzieci, uciekiniarka w Piatigorsku, 36 lat
Anne Somerhausen – matka trójki dzieci, pracownica biura w Brukseli,
41 lat
Leonard Thomas – mechanik na statku w konwoju arktycznym, 20 lat
Bede Tongs – sierżant piechoty na Nowej Gwinei, 22 lata
Vittorio Vallicella – szeregowiec, kierowca ciężarówki w Afryce Północnej,
24 lata
Tohichi Wakabayashi – porucznik piechoty na Guadalcanalu, 30 lat
Charles Walker – chorąży w piechocie na Guadalcanalu, 22 lata
Kurt West – szeregowiec piechoty na froncie nad rzeką Świr, 19 lat
Leona Woods – doktorantka fizyki w Chicago, 23 lata
Zhonglou Zhang – urzędnik państwowy na inspekcji w Henanie, wiek
nieznany

Od 1 do 8 listopada

Plany wielkie i małe

*Współczucie i brutalność mogą, wbrew wszelkiej logice,
wystąpić u tej samej osoby w jednym momencie; zresztą
współczucie samo w sobie pozbawione jest logiki.*

*Śmierć można pokonać z sukcesem właśnie z tej
przyczyny, iż nie da się jej przeżyć.*

*Tydzień wcześniej na zniszczenie batalionu trzeba było połowy
dnia, teraz w trzy kwadrans obracano w pył cały pułk.*

Silne wiatry ciągną od Morza Wschodniochińskiego i rzeki Huangpu, mkną wzdłuż cumujących w porcie dżonek, statków parowych i żaglowców, mijają tłumy kręcące się po portowej promenadzie, pojazdy i zwierzęta, ryksze, powozy, rowerzystów, całe masy rowerzystów, przepełnione tramwaje, autobusy napędzane gazem drzewnym i wojskowe ciężarówki, pędzą wzdłuż górujących nad Bundem imponujących gmachów w zachodnim stylu – „The Million Dollar Mile” – obok rzędów kolumn, kopuł, gzymsów, balustrad i iglic, omiatają nigdy nierzednące zastępy żebraków poniżej promenady, śpieszą obok Pootung Point i wpadają w wąskie uliczki dzielnicy Hongkou, pędzą wzdłuż niskich budynków, z których wiele od pięciu lat wciąż stoi w ruinie, gnają dalej, ku Zhabei, wspinają się po starych murach dawnego chińskiego miasta, suną między mrowiem drewnianych blankowanych dachów, mijają opuszczony tor wyścigów konnych z dziesięciopiętrową wieżą i pogrążonymi w ciszy trybunami, po czym zmierzają dalej, ku międzynarodowej części miasta, mkną prostymi ulicami i alejami obsadzonymi rzędami drzew (między innymi Gordon Road, Bubbling Well Road, avenue Foch, avenue Joffre, avenue Petain), owiewając kręcących się po nich ludzi, mijają świątynie i katedry, szpitale i uczelnie, domy towarowe i teatry, blokady ulic i bariery zwieńczone drutem

kolczastym, kawiarnie, bary i burdele, i wpadają do parków, w których drzewa świecą coraz intensywniejszą nagością i czernią, w miarę jak zimne podmuchy zrywają z nich coraz więcej liści w ciepłych odcieniach, by w końcu zniknąć na wschodzie, za rzeką Wusong i dalej, w miasteczkach, w wioskach, na polach ryżowych, i rozwiać się po odległych prowincjach Jiangu, Anhui i Henan. W Szanghaju panuje późna jesień.

Pod ciemnym listopadowym niebem, w południowej części koncesji francuskiej mieszka Ursula Blomberg. Właśnie skończyła dwanaście lat i wraz z rodzicami zajmuje lokal na parterze otoczonej murem kamienicy na małym Place des Fleurs, tuż przy rue de Kaufman. Są uciekinierami z Niemiec i wynajmują pokój z kuchnią od pewnej Rosjanki. Na piętrze mieszkają inni uchodźcy, z Lipska, a w pokoju z oknami wychodzącymi na podwórze rezyduje dwóch mężczyzn z Berlina, lecz rzadko można ich zastać. Ursula i jej rodzice uważają się za szczęściarzy: okolica jest bezpieczna, ulica spokojna, kwatery jasna i przestronna, kuchnia czysta i wyposażona w blachę z dwiema fajerkami oraz chłodziarkę. Mają nawet dostęp do łazienki wyłożonej niebieskimi kafelkami, w której za kilka miedzianych monet można wziąć gorącą kąpiel. (To warunki nieporównywalnie lepsze od tych panujących w kwaterach dla uchodźców w dzielnicy Hongkou, gdzie wielu ludzi, którzy przyłączyli się do samych statków, wciąż tłoczy się w ciasnych pomieszczeniach, na gołym betonie, w brudzie, smrodzie i bałaganie, pooddzielanych od siebie rozwieszonymi kawałkami materiału).

Podobnie jak miliony innych ludzi, rodzina Ursuli śledzi przebieg wojny na mapach przytwierdzonych do ścian. Ich mapy zostały wyrwane z gazet, przypięte do białego prześcieradła i powieszzone w korytarzu. Ursula powycinała papierowe chorągiewki w różnych kolorach, przyczepiła je do główek szpilek i od tej pory służą im one do oznaczania sukcesów i porażek poszczególnych stron – czerwone

to Wielka Brytania, niebieskie symbolizują Stany Zjednoczone, zielone Holandię, żółte Japonię i tak dalej. (W pamiętnikach spisanych wiele lat później Ursula nie wspomina, jaki kolor przydzieliła Niemcom. Zgadnijmy więc sami. Czarny?) W ostatnim roku chorągiewki wielokrotnie zmieniały swoje położenie, a wiadomości z linii frontów były *devastating*, druzgocące, jak pisze Ursula w swoim pamiętniku. (Często używa tego określenia, by opisać, jakie wrażenie robiły na niej wydarzenia związane z wojną). Musiała odnaleźć na mapie wyspy, o których nigdy dotąd nie słyszała, nazwy regionów i miast, których nie potrafiła poprawnie wymówić. Corregidor. Rabaul. Kokoda. Alam Halfa. Maj-kop. Stalin-grad. Gua-dal-canal. W którejś chwili zielone chorągiewki zniknęły.

Linie maleńkich dziurek na mapach ukazują, jak tereny zajęte przez państwa Osi rosły i rosły. Pośród uchodźców toczą się dyskusje, czy następną ofiarą inwazji będzie Australia. Najstraszniejsze są trzy skupiska chorągiewek: to w Afryce Północnej, ukierunkowane na wschód ku Egiptowi, to na Kaukazie, zorientowane na Persję i sprzyjający państwu Osi Irak*, oraz to w Birnie, zwrócone ku Indiom – jeśli państwa Osi będą kontynuowały swój triumfalny pochód, owe linie z chorągiewkami w końcu się spotkają – no właśnie, gdzie? W Afganistanie? Na zachodzie Indii?***

* Rok wcześniej w Iraku doszło do nacjonalistycznego, inspirowanego przez nazistów puczu, przy bezpośrednim wsparciu wojskowym Niemiec i Włoch. (Doprowadził on między innymi do masakry żydowskiej ludności w Bagdadzie). Jednak siły brytyjskie w krótkim starciu, którego zakończenia w żaden sposób nie dało się przewidzieć, zdołały przywrócić dawny probrytyjski reżim.

** W owym czasie obowiązywało porozumienie między Niemcami a Japonią, zakładające podział Azji i Związku Radzieckiego wzdłuż siedemdziesiątego południka. Niemcy opracowały nawet specjalny plan: *Fall Orient*, zgodnie z którym tuż po zwycięstwie w Egipcie i na Kaukazie i po

„Baliśmy się. Bo czy to możliwe, by tak małeńki kraj jak Japonia do spółki z Niemcami i ich rozdętym ego [...] był w stanie wygrać wojnę przeciwko całemu Zachodowi? Wliczając Amerykę?”

Wszystko na to wskazywało. Życie w egzotycznym Szanghaju to dla Ursuli „przeżycie jak ze snu”. Dziewczynka i jej rodzice żyją w dojmującej izolacji, są odcięci od świata, jakby nagle znaleźli się po drugiej stronie Księżyca i wiedzą tylko tyle, ile przekazują im oceniurowana prasa, japońskie radio oraz plotki. Dlatego też przez długi czas mogą szukać pocieszenia w myśli, że owe okropne wieści to propaganda, przesada i dezinformacja. Jednak przyjaciel przyjaciela ma ukryte radio i przez mur trzasków i szumów, zwichrowanych, przechodzących w piski dźwięków udaje im się czasem wyłapać wiadomości nadawane przez BBC. „Nie były to już plotki, potwierdziło się wiele druzgocących doniesień na temat wojny i myśl o przyszłości napawała nas trwogą”^{*}.



Wszędzie jest wilgoć. Jego spodnie i płaszcz są tak samo mokre jak przydzielony mu chleb. Wszystko może pokryć się pleśnią.

przejęciu złóż naftowych na Środkowym Wschodzie miały podążać dalej na wschód i na wysokości Afganistanu połączyć się z siłami japońskimi.

^{*} Mając dostęp jedynie do oceniurowanych mediów, łatwo było wysnuć wniosek, że Azja mocno wspierała Japonię. Tajlandia na początku roku zawarła sojusz z Japonią, a na terenie Chin istniały dwa względnie duże państwa marionetkowe: Mandżukuo – liczące sobie na ten moment już dziesięć lat – oraz Mengjiang. Ponadto właśnie powstawały kolejne – na obszarach Filipin i Birmy, a ruch wyzwoleniczy w Indiach był silny jak jeszcze nigdy dotąd. (Zarówno birmańskie, jak i indyjskie oddziały były się w owym czasie po stronie Japonii, by wywalczyć sobie niezależność od Brytyjczyków). We wszystkich okupowanych krajach nie brakowało oportunistów chętnych do współpracy z na pozór niezwykniętym cesarstwem.

Buty toną w błocie, kiedy on i jego koledzy chodzą po rozmytych okopach, krocząc chwiejnie, jak tancerze na linie¹. On nazywa się Willy Peter Reese i opisuje to tymi słowami:

Okopy znaleźliśmy zabagnione i często zalane wodą. W pomocniczych bunkrach i prymitywnych dołach strzeleckich kapą woda, a konie padały na drogach. Koń był cenniejszy od żołnierza. Ale nasz los przyjmowaliśmy takim, jaki był. Odżywaliśmy we własnych wspomnieniach, myśląc o powrocie do domu. Wkrótce znów się przyzwyczailiśmy, jakby nie zmienił się czas błota z poprzedniego roku².

Reese i jego towarzysze broni mieszkają w poszerzonym dole strzeleckim, z płachtą namiotową służącą za drzwi, pod ciekącym dachem wzmocnionym drewnianymi belkami i ziemią, ogrzewają się żeliwnym piecykiem i dostają jedzenie z kuchni polowej ukrytej spory kawałek dalej w rozpadlinie, do której trzeba biegać pod osłoną nocy. Reese nie ma możliwości, by się umyć, o zmianie butów i skarpetek również może tylko pomarzyć. Chwile słońca przeplatają się z kolejnymi ulewami. Lesisty krajobraz robi się coraz bardziej opustoszały, nagi, wilgotny, wyprany z kolorów, przywodzi na myśl szaroburą akwarelę. Łagodnie opadającymi drogami płyną rzeki deszczu. Wysoka trawa zgięła się wpół, jakby już szykowała się na nadejście mrozu i śniegu.

Za dnia Reese i jego towarzysze powiększają rozmiękłe okopy, czyszczą pistolety i karabiny, przeglądają amunicję albo niską armatę przeciwpancerną, którą obsługuje jego oddział. Nocami Reese pełni wartę, przez około godzinę, potem może odpoczywać przez trzy. Na tym upływa czas. Żołnierze są śmiertelnie zmęczeni, marznący, tęskniący, bezsilni³. Noce są przez to poszatowane, a niedobór snu odkłada się kolejną warstwą na apatii, w której pogrążone są dusza

i ciało Reese'a. To, co jeszcze przed rokiem napawało go wręcz panicznym lękiem, dziś nie robi już na nim prawie żadnego wrażenia. W zamian ogarnęło go coś na kształt zbawiennego zubożenia. Reese nie wie, „czy powodem tego jest fatalizm, czy zaufanie do Boga”⁴. Groźba śmierci stała się czymś powszednim. Podobnie jak sama śmierć.

Willy Peter Reese ma dwadzieścia jeden lat, jest szeregowcem w niemieckiej armii, służy w 14 Kompanii 279 Pułku 95 Dywizji Piechoty. Jest wątłej budowy i nosi okulary bez oprawek, co czyni go jeszcze bardziej niepozornym. (W dodatku dużo czyta lub pisze, a ponieważ do jednego i drugiego potrzebuje światła, często słucha utyskiwań swoich druhów, którzy każą mu je zgasić, by mogli pójść spać. Zdarza się więc, że Reese pochyla się nad lekturą bądź listem przy blasku żarzącego się papierosa). Zarówno hełm, jak i mundur wyglądają na nim, jakby były nieco za duże na jego chuderlawe ciało. Wciąż pojawiają mu się na twarzy młodzieńcze pryszcze. Spojrzenie ma jednak surowe i czujne, o wiele starsze niż oblicze.

Jakieś trzysta metrów dalej, po drugiej stronie szerokiego zagłębienia w ziemi, za zwojami drutu kolczastego, pośród świerków i nagich olchowych zarośli mającą linie Sowietów. Miejsce to nosi nazwę Tabakowo, od zniszczonej wsi leżącej kawałek dalej, z której zostało niewiele więcej oprócz sterczących kominów, zwęglonych szczap i ogródków ze zwiędłymi, przemrożonymi warzywami.



Kiedy Willy Peter Reese musi komuś wyjaśnić, gdzie się znajduje, mówi, że „pod Rzewem”^{*}. Aktualnie panuje spokój, co oznacza, że

^{*} „Pod Rzewem” to stenograficzny skrót odnoszący się do długiego na 200 km wyrzucenia w linii sił niemieckich, pozostałości po nieudanej próbie zdobycia Moskwy w 1941 roku, rzucającego się w oczy do tego

nie trwa zmasowany atak Sowietów, lecz strona niemiecka i tak jest praktycznie pod stałym ostrzałem snajperów i lekkich moździerzy. Nie mogą więc palić w piecu za dnia, bo dym z mokrego drewna natychmiast ściągnąłby na nich uwagę Rosjan. A siedząc w okopach, nie mają właściwie żadnej ochrony przed wpadającymi do nich pociskami, zwłaszcza kiedy lądują tuż obok nich. Reese nieraz widział towarzysza broni, który padł ofiarą takiego celnego strzału w środku nocy. Ściany okopu były wówczas oblepione przymarzniętymi wnętrznościami, strzępami materiału, mózgu i mięśni, zabity był zaś całkowicie nierozpoznawalny.

Kolejna noc, podczas której „bóg snu”, jak mawia Reese, chwilowo i ułudnie, zabrał go do domu, daleko stąd. (Łatwo sobie wyobrazić, co czuł po przebudzeniu). Ciemność przechodzi w ranek. W nowy świt nad tą ziemią niczyją, nad mokradłami i zagajnikami, nad zwiędłą, pożółkłą trawą. Panuje kompletna cisza. Reese pisze: „Piękno tych godzin było warte niektórych nocy pełnych strachu i męki”⁵.



Wróćmy do Ursuli Blomberg. Rzecz jasna, Ursula i jej rodzice mieszkają w Szanghaju tymczasowo i nie mają zbyt dużego wyboru, jak tylko czekać na pokój i możliwość podróży do miejsca, które obrali sobie za cel – do Stanów Zjednoczonych. Fakt, że trafili akurat

stopnia, również na mapach w dużej skali, że przykuwało uwagę strategów obu stron, zarówno tych prawdziwych, jak i wymagowanych. Niewielka odległość od Moskwy sprawiała, że Hitler trzymał się uporczywie tej swe-go rodzaju geograficznej anomalii. Z tego samego powodu Stalin chciał ją wyeliminować. Obaj domagali się, by wykonano ich wolę „za wszelką cenę” – zgodnie z militarystycznym frazesem, który w przypadku obu dyktatorów był wdrażany w życie ze wszystkimi straszliwymi konsekwencjami.

do Szanghaju, nie jest żadnym zaskoczeniem. Wiosną 1939 roku, kiedy Blombergowie rozpoczęli swoją zamorską podróż, owa kosmopolityczna metropolia była praktycznie jedynym portem na świecie, który wciąż i bez ograniczeń przyjmował żydowskich uchodźców z Niemiec. A w tej sytuacji krążąca o nim opinia miasta zdeprawowanego, grzesznego, chaotycznego i niebezpiecznego odgrywała znikomą rolę: w ostatnich latach przybyło do niego osiemnaście tysięcy ludzi.

Czasami Ursulę nawiedzają czarne myśli; na przykład wówczas, gdy przypomni sobie o tych wszystkich brytyjskich, amerykańskich, holenderskich i francuskich cywilach internowanych przez Japończyków w obozie nad rzeką Wusong; albo kiedy pomyśli o swoich krewnych, którzy zostali w Niemczech – zastanawia się, jak się mają. Gdy po wielu latach, w dorosłym wieku, wracała do tych dni, było dla niej jasne, że ich „życie upływało w owym czasie bez większych problemów” i dali się zwieść „fałszywemu i egoistycznemu zadowoleniu”. Sprzyjał temu fakt, że w Szanghaju panuje pokój, a japońscy żołnierze traktują ich z szacunkiem, wręcz uprzejmie – było nie było, są Niemcami, a więc sojusznikami.

Mimo to gdzieś pod powierzchnią czai się lęk.

Lecz w owym niezwykłym zawieszeniu Ursula niespodziewanie cieszy się paradoksalną wolnością. Nie martwi jej fakt, że nastąpi późna jesień; dobrze jest odetchnąć od ciężkich, wilgotnych letnich upałów. Świeżo otwarta firma malarska taty prosperuje dobrze, a mama wykonuje w domu prace krawieckie. Nawet Ursula próbuje coś zarobić, ucząc angielskiego trzy śliczne, rozchichotane Azjatki. To siostry pewnego zamożnego Chińczyka – choć jego siostrami są wyłącznie w cudzysłowie: Ursula po jakimś czasie zrozumiała, że to jego konkubiny. Kiedy sprzyja pogoda, gra z „siostrami” w krokieta lub ping-ponga, a gdy – jak teraz, na początku miesiąca – jest chłodno lub pada deszcz, grają w karty.



Muzyczne intermezzo: zrobiło się nieco chłodniej, a oni stoją w padającym skośnie na pustynię słońcu i śpiewają psalmy przy – zaskakującym w tych okolicznościach – akompaniamencie saksofonu. Ich głosy są rozedrgane, nienawykłe do śpiewu, po chwili pieśń cichnie i jej miejsce zajmują inne, dobrze znane dźwięki: warkot silników, pobrzękiwanie metalu o metal, głuche tąpnięcia odległych wybuchów. Msza polowa dobiega końca. Pięknie dobierający słowa cherławy ksiądz unosi dłoń i udziela zebranych błogosławieństwa. Wierni zginają karki. Keith Douglas dostrzega, że dowódca pułku podkraść się chyłkiem, i zaczyna się mu przyglądać, jak można przypuszczać, dyskretnie, kątem oka. Przełożony jak zwykle prezentuje się nienagannie, guziki jego munduru lśnią, podobnie oznaczenia stopni i formacji, spod ramienia wystaje mu szpicruta, ma nawoskowany wąs. Nawet on zdaje się zginać kark, choć wygląda to raczej tak, jakby spoglądał na swoje zamszowe buty zawiązane z taką precyzją, że po obu stronach każdej stopy zwisa dokładnie tyle samo sznurówki.

Zerkający na swojego dowódcę Keith Douglas to ciemnowłosy dwudziestodwuletni porucznik o orlim nosie, nieśmiałym uśmiechu i w okularach o grubych szklach. Ma powód, by rozglądać się z ciekawością wokół siebie, jest nowy w formacji, dołączył zaledwie kilka dni temu. Właściwie służy w sztabie dywizji stacjonującym ponad trzydzieści kilometrów stąd, lecz nie mógł już wytrzymać beczynności, siermiężnej wojskowej biurokracji i bezsensownego wysiadywania za biurkiem. Zawstydzął go fakt, że nie uczestniczy w walce, zwłaszcza teraz, kiedy wyprowadzono tak potężny cios. „Muszę zdobyć doświadczenie w walce”. A zatem trzy dni temu, bez pozwolenia, opuścił swoje stanowisko, włożył świeżo wyprany mundur, wszedł do ciężarówki i teraz jest tu, uzyskawszy, ni mniej, ni więcej jak podstępem, awans na dowódcę plutonu dysponującego

dwoma czołgami*. Nie było to wcale takie trudne, ponieważ od chwili, gdy wszystko się zaczęło – około dziewięciu dni temu – pułk zdążył już stracić wielu oficerów niższych szczebli. Jest niedziela, 1 listopada.

Dowódca pułku zaczyna swoją przemowę:

Jutro rozpoczynamy drugą fazę bitwy o El Alamein. Faza pierwsza, mająca na celu odsunięcie wroga od całej linii frontu, została zakończona. W fazie tej ta dywizja, ta brygada wykonała świetną robotę. Generał dywizji i generał brygady są bardzo zadowoleni.

Słychać, że dowódca jest wytrawnym mówcą. (Jest również członkiem parlamentu. Z ramienia konserwatystów). Do swych przemów wplata osobiste komentarze adresowane do poszczególnych osób.

Jaki więc Douglas ma stosunek do swojego przełożonego? To pełna sprzeczności mieszanina podziwu i zazdrości, dumy i poirytowania. Dowódca reprezentuje wszystko to, czego Douglas nigdy nie doświadczył i nie posiadał: pieniądze, tradycje, świetne pochodzenie, prywatne szkoły, krykieta oraz polowanie na lisy, a przede wszystkim urok osobisty i pewność siebie typową dla ludzi wywodzących się z elity. W dodatku dużo się mówi o jego wielkiej odwadze.

Zarazem jednak dowódca pułku jest przedstawicielem wszystkiego, co czyni brytyjską armię anachroniczną, skostniałą i zacoфанą oraz co stanowi istotne wyjaśnienie faktu, dlaczego wciąż przegrywają, ponoszą porażkę za porażką od 1940 roku, owszem,

* Nie był przeszkolony do obsługi typu czołgu, jakim dysponował jego pluton – Crusadera Mk III. W najlepszym razie siedział kiedyś w starszej wersji tego pojazdu.

nieraz w heroicznym i widowiskowym stylu, lecz i tak oznacza to dla nich klęskę. Ponad dwa lata temu, kiedy formacja dotarła na Bliski Wschód, wciąż była pułkiem kawalerii, a w jej dowództwie jest wielu, którzy nadal cenią sobie dawne tradycje, co objawia się między innymi stanowczą pogardą dla czyichś wysokich kompetencji w zakresie nowej techniki. Douglas narobił sobie problemów na tym tle już pierwszego dnia po przybyciu do jednostki, podobnie jak przed rokiem, po dotarciu na Bliski Wschód. Był już wówczas wyszkolonym oficerem wojsk pancernych, podczas gdy niewielu żołnierzy z jego jednostki widziało na oczy czołg. W efekcie niemal od razu – i nie bez powodu – dorobił się opinii nieznośnego zarozumialca. Z uwagi na swoje proste pochodzenie Douglas nie tylko z trudem znosi snobów i pretensjonalność wyższych klas, ale w dodatku jest skory do sporów i ma niewyparzoną gębę.

Tak, Douglas jest nieco osobliwy. Pisze modernistyczną poezję i przy wielu okazjach został przyłapany na tym, że siedzi i rysuje, zamiast robić coś pożytecznego.

Dowódca plutonu dochodzi do puenty:

Tym razem, w drugiej fazie, nie mamy aż tyle do zrobienia, inni... ech... do nas dołączą. Generał Montgomery podzieli siły wroga na małe zgrupowania. Nocą zaatakują Nowozelandczycy, po nich ruszy 9 Brygada Pancerna i inne formacje pancerne. Kiedy generał Montgomery będzie gotowy, pójdziemy za nimi, by zadać Niemcom ostateczny cios. To wielki zaszczyt i to dzięki wam spotkał on naszą brygadę. Kiedy zmiażdżymy siły pancerne wroga i rozgonimy jego siły, wrócimy do Kairu i... ech... weźmiemy kąpiel, pozostawiając pościg innym biedakom.

Mowa podoba się żołnierzom i dowództwu. Nawet Douglas, choć nastawiony sceptycznie, czuje się odrobinę podbudowany.

Zgromadzenie rozchodzi się w szybko zapadającym zmierzchu. Przed porannym atakiem zostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. Czołgi muszą zostać zatankowane, wyposażone w zapas oleju, wody, amunicji i prowiant. Na znak, że sytuacja zrobiła się poważna, kwaterymistrz rozdziela żołnierzom skarpety, płaszcze i inne części umundurowania, nie żądając w zamian podpisu na blankietach. Zapowiada się kolejna bezchmurna, gwiaździsta noc.



Być może Douglas sam jest równie anachroniczny, co dowódca pułku, choć w nieco innym sensie? Wiele z psychologicznych przyczyn tej wojny miało swoje źródło w tym, co wydarzyło się wcześniej, w tym, co przejawia się przede wszystkim w formie lęku przed pięknymi, lecz owianymi złą sławą złudzeniami związanymi z poprzednim konfliktem. Pod wieloma względami ów dwudziestodwuletni porucznik bardziej przypomina młodych mężczyzn z 1914 roku niż współczesnych mu towarzyszy broni. Chce tej walki, to doświadczenie, które musi zdobyć, próba, którą musi przejść. Wojna jest dla niego estetycznym fenomenem nabierającym sensu w poprzedzających ją literackich i poetyckich obrazach. Wyraźnie dostrzega jej absurdu, lecz jego skomplikowana natura czyni go podatnym na ich dwuznaczności w sposób, który był o wiele bardziej powszechny, dajmy na to, dwadzieścia lat temu niż obecnie, w czasie o wiele bardziej odartym ze złudzeń*.

Douglas opisuje to tak:

* Z tym faktem wiąże się coś ciekawego. Promotorem Douglasa w Oksfordzie był Edmund Blunden, autor poetyckich, wstrząsających wspomnień z I wojny światowej pod tytułem *The Undertones of War*. Blunden zachęcił go do pisania poezji i pokazał część jego wierszy T.S. Eliotowi.

To fascynujące i zachwycające, patrzeć, jak tysiące mężczyzn, w większości niemających większego wyobrażenia o tym, o co walczą, znoszą ciężkie warunki, żyją w nienaturalnym, niebezpiecznym, acz nie na wskroś potwornym świecie, zmuszeni do zabijania i umierania, i mimo wszystko raz po raz poruszani są poczuciem braterstwa z tymi, którzy zabijają ich i którzy są zabijani przez nich, spowodowanym faktem, iż przyszło im przeżywać te same rzeczy. To całkiem pozbawione logiki – czytanie o tym nie oddaje wrażenia, iż wyszło się po drugiej stronie lustra, jakiego doświadcza mężczyzna udający się na wojnę.



Tej samej niedzieli w Berlinie był względnie ciepły, choć nieco deszczowy jesienny dzień. Teraz nastał już wieczór i w kamienicy z numerem 21 na Rankestraße znów odbywa się przyjęcie. Budynek został wzniesiony w duchu neoromantyzmu – z lustrzanymi ścianami i marmurowymi kariatydami zdobiącymi wejście. Leży w samym centrum miasta, zaledwie kilka przecznic od ogrodu zoologicznego i oszałamiającego Kościoła Pamięci Cesarza Wilhelma. Samo mieszkanie jest równie piękne: lśniące parkiety, ciężkie meble, portrety w złożonych ramach i całe mnóstwo książek. Pełno w nim ludzi, na pewno ponad pięćdziesięcioro. W światłocieniu i w oparach papierosowego dymu rozlegają się śmiechy i rozmowy, z gramofonu sączy się muzyka. W dużym salonie odsunięto stół pod ścianę, by goście mogli tańczyć. Ursula uwielbia tańce i wprost ubóstwia przyjęcia.

Nazywa się von Kardorff i ma trzydzieści jeden lat. Są tu również jej dwaj bracia, młodszy Jürgen i starszy Klaus, obaj w mundurach oficerskich. Na przyjęciu jest wielu innych mężczyzn w mundurach, pośród nich sześciu przechodzących rekonwalescencję.

Pierwszy ma amputowaną rękę na wysokości ramienia, drugi chodzi o kulach, trzeci z trudem siada, mimo podkładanej pod siedzenie dmuchanej poduszki, czwarty wciąż dochodzi do siebie po tym, jak amputowano mu spore części obu stóp z powodu ciężkiego odmrożenia, lecz mimo to próbuje na nich tańczyć. Jednak nie tylko mundury i kule przypominają o wojnie, zapewnia to sama forma przyjęcia. Zgodnie z panującymi w obecnych czasach zasadami gospodyni – w tym przypadku Ursula – zapewnia jedynie szkło. O napitki musieli zadbać goście. I nie zawiedli – mają do dyspozycji mnóstwo butelek. Jest coś jeszcze: wszystkie okna szczelnie zaklejono kartonami i zaciągnięto zasłony. Zaciemnienie obowiązuje od 17:30 do 6:29 następnego dnia*. Gdyby któryś z gości wyjrzał na ulicę, nie zobaczyłby wiele. Rankestraße tonęła w mroku, pomijając rozkołysane punkciki światła latarek nielicznych przechodniów i trupią niebieskozieloną poświatę przejeżdżających tramwajów.

Owe starannie zaklejone okna są nie tylko przypomnieniem tego, co dzieje się w Europie i na świecie, lecz również odzwierciedleniem pewnej postawy. Jak wielu Niemców, Ursula von Kardorff woli trzymać się z dala od polityki i od wojny. Odsuwa od siebie ten fenomen i ratuje się ucieczką w życie prywatne. Dzisiejsze przyjęcie ma być kolejną wesołą zabawą, odległą od trosk tego świata.

Jednak nastrój wieczoru nie chce się podporządkować tym zamiarom. Ursula odnotowuje z rozczarowaniem, że wielu gości nie ma ochoty tańczyć. Gromadzą się w sąsiednich pokojach i dyskutują. W dużej mierze odpowiadają za to oficerowie – to oni nadają

* Nawet w tym przypadku owe reguły odpowiadają naszym wyobrażeniom o niemieckiej dokładności: w noc z 3 na 4 listopada zaciemnienie obowiązuje od 17:28 do 6:31. Mieszkańcy Berlina stosowali się do tych zaleceń, za to w tym samym miesiącu przybyło skarg na „brak dyscypliny” u pieszych i rowerzystów – w ciemności nie przestrzegano wszystkich przepisów drogowych.

ton rozmowom, a ów ton jest krytyczny i odarty ze złudzeń w zupełnie nowy, bardziej otwarty sposób. I to powszechne zjawisko. Za ledwie przed dwoma laty, po sukcesie na zachodzie, większość tych młodzieńców w mundurach była entuzjastami. Jak wielu młodych ludzi w ich sytuacji czuli się wzmocnieni wiarą w Wodza, Niemcy i ostateczne zwycięstwo mające nastąpić po szybkim i brutalnym pochodzie. (Możemy przypuszczać, że byli obiektem zazdrości przedstawicieli swojego pokolenia, którzy nie brali w tym udziału i zaczęli się obawiać, że nie będą już mieli na to szansy, bo wojna dobiegnie końca).

Niewykluczone, że owi oficerowie, podobnie jak znaczna część ich współobywateli, stracili nieco zaufania do Wodza po tym, jak – wbrew jego przewidywaniom – nie udało się pokonać Związku Radzieckiego w 1941 roku, lecz zaufanie to zostało tymczasowo odbudowane po jego słynnej marcowej przemowie, w której obiecał zwycięstwo już tego lata. Bo do tej pory Führer zawsze miał rację. Jednak lato już dawno przeminęło, powoli nadciąga zima i w ludziach narasta niepewność*. Pomijając tych najwierniejszych – dla nich fantazje zawsze pozostawały ważniejsze niż rzeczywistość.

Jednakowoż, podczas gdy cywile tacy jak Ursula von Kardorff żyją w miastach, w których zbombardowane kamienice wciąż są rzadkością i da się uciec w rozrywki i życie prywatne, dla młodych

* Jak dowiedli historycy Detlev Peukert i Ian Kershaw, „mit Hitlera” – jak nazywają fenomen polegający na tym, że część społeczeństwa pozostawała krytyczna wobec NSDAP i jednocześnie ufała Führerowi – opierał się na fakcie, iż Führer raz za razem w swoich przemówieniach radiowych przepowiadał coś, co wkrótce się sprawdzało; kiedy to się zmieniło i Hitler coraz częściej się mylił, wiara w niego powoli gasła. Kiedy więc, wbrew wszelkiej wojskowej logice, uparł się na zajęcie Stalingradu, chodziło mu nie tylko o odzyskanie autorytetu, ale wręcz o utrzymanie władzy. Jedno było nierozłączne z drugim.

mężczyzn w mundurach sprawy mają się inaczej. Zatem to nie tylko ich osobiste doświadczenia bądź alkohol skłaniają ich do wyrażania coraz bardziej krytycznych opinii. Mogą to robić, ponieważ są w jakimś stopniu chronieni przez swoje rany i blizny, przez medale i status walczących na froncie*. Ursula jest wyraźnie wstrząśnięta ich rozgoryczeniem. Do tej pory było inaczej: to oni, żołnierze, wlewali pokrzepienie w serca wątpiących cywilów. Co się dzieje?



Kiedy do drzwi dzwoni Hans Schwarz van Berk, przyjęcie z nieudanej zabawy zmienia się w katastrofę. To stary znajomy Ursuli von Kardorff. Znają się z czasów, gdy Ursula pracowała dla nazistowskiej gazety „Der Angriff” i cieszy się on zarówno jej szacunkiem, jak i podziwem. Czterdziestoletni Schwarz van Berk od dawna jest jednym z chłopców Goebbelsa: znanym z zasług dziennikarzem, zatwardziałym nazistą i członkiem Waffen-ss. W jednym z pokoi szybko dochodzi do gorącej wymiany zdań między esesmanem a kilkoma młodymi oficerami. Ktoś mówi tak: „My wszyscy jesteśmy jak szczury na okręcie, z tą różnicą, że nam nie wolno okrętu opuścić”⁶. Schwarz van Berk reaguje złością, lecz mimo to próbuje dyskutować, wyrazić odmienne zdanie. Ale gdy ktoś wypowiada pod jego adresem słowa: „Robi się przecież wszystko, żeby zataić prawdę”⁷, esesman ma dość, podrywa się z krzesła i maszeruje do drzwi. Ursula i jej starszy brat Klaus biegną za nim, usiłują go przeprosić, załagodzić nieporozumienie. I udaje się im, choć nie bez trudności.

* *Frontkrieger* (niem. walczący na froncie) to jedno z najdonioślejszych słów w słowniku nazistów, tuż obok określeń opisujących na przykład gotowość do ofiary, poczucie wspólnoty, wolę, totalność, czystość, fanatyzm.

Po tym incydencie ta do tej pory tak pewna siebie kobieta zaczyna się bać. „Tęgo rodzaju wypowiedzi są niebezpieczne dla wszystkich obecnych”⁸. I jest zawiedziona. Opowiada dalej: „Najprzyjemniej jednak było tego wieczoru przed przyjściem gości, kiedy tańczyłam to z jednym, to z drugim bratem w niemal pustej jadalni”⁹.

Nazajutrz Schwarz van Berk dzwoni na skargę do matki Ursuli Iny – wiernej wyznawczyni reżimu. Mówi jej, że poczuł się „wstrząśnięty rozmiarami szerzącego się defetyzmu”¹⁰.



Nikt nie znosi zapachu zwycięstwa o poranku. Zwłaszcza jeśli owe zwycięstwo miało miejsce cztery dni temu i panuje tropikalny upał, dniem i nocą.

Japończycy atakowali przez trzy noce z rzędu i za każdym razem byli odpierani. Nikt nie wie, ile ciał japońskich żołnierzy leży wokół nich. Ktoś twierdzi, że co najmniej tysiąc. Charles Walker, na którego towarzysze broni nigdy nie mówią inaczej niż Chuck, to wysoki okularnik, chorąży w Kompanii H, 2 Batalionu, 164 Pułku Piechoty w amerykańskiej armii. On słyszał o trzech i pół tysiąca, lecz nikt ani nie może, ani nie chce ich zliczyć. W niektórych miejscach piętrzą się stopy ciał, po trzy, czasem cztery, ułożone w bezładnych warstwach. Trupy zaczęły już puchnąć od upału, rozdymają mundury, zmieniają barwy, czernieją, z otworów w ich ciałach wylażą szarawe robaki, a twarze zabitych wyglądają jak groteskowe maski. Miejsce zasługuje na swoją nazwę: *Bloody Ridge*.



Walker i jego batalion znajdują się na Guadalcanalu od 13 października. Dla niego i jego towarzyszy to inny świat, nieznan, dziwny, przerażający. Większość żołnierzy w batalionie pochodzi

z Dakoty Północnej, niemało z Minnesoty – wielu ma skandynawskie nazwiska – przeważają górnicy, drwale, kowboje, stolarze, mechanicy, farmerzy, są wysocy, silni, młodzi, i gdy pewnego zimnego lutowego wieczoru w ubiegłym roku wsiadali w Fargo do pociągu, który zabrał ich na obóz szkoleniowy do Luizjany, gdzie z żołnierzy gwardii narodowej mieli zostać przekształceni w jednostkę gotową do walki na wojnie, padał śnieg. Teraz są na porośniętej lasem deszczowym tropikalnej wyspie na południowym Pacyfiku i czują się tak, jakby trafili na inną planetę.

Ich zmysły są przytłoczone naporem nowych wrażeń. Przede wszystkim zapachów. Las deszczowy zionie wonią nagrzaną słońcem, wilgotnej roślinności, smrodem stojącej wody zielonej od alg, pleśnią i zgnilizną. By przeżyć, szybko nauczyli się używać zmysłów w zupełnie inny sposób; wzrok i słuch, owszem, wciąż się przydają, ale teraz polegają głównie na węchu. Gdy zapada czarna noc albo kiedy otacza ich wściekle zielona, gęsta i wysoka trawa, czasem da się wywąchać, czy japońscy żołnierze są blisko, bo ich eleganckie, nowiutkie skórzane wyposażenie wydaje dziwną, lekko słodkawą woń*. W dodatku żywi Japończycy wydzielają inny zapach niż Amerykanie – tego również nauczył się Walker i jego towarzysze. Trudno powiedzieć, czy spowodowała to sytuacja, czy zwyczajny strach, ale po tygodniach tłoczenia się w ciasnych okopach wielu żołnierzy nauczyło się rozpoznawać po zapachu nawet swoich komilitonów. I czasem decydowało to o życiu bądź śmierci.

Jednak teraz wszystkie zapachy utonęły w gęstym, słodkawym smrodzie gnijących ciał poległych. Rozpoczęto już oczyszczanie pola bitwy. Walker i jego towarzysze wytrzymują to z najwyższym trudem. Trupy trzeba zakopać. Przed pozycjami, które miała za zadanie

* Ów mechanizm działał również w drugą stronę. Nieprzyjaciel potrafił ocenić, czy Amerykanie są blisko, po zapachu ich luksusowych papierosów.

utrzymać jego kompania – i które lada chwila zostaną ochrzczone nazwą *Coffin Corner* – leży ich wyjątkowo dużo.



Przez trzy noce z rzędu* Japończycy atakowali falą za falą, krzyżąc, wyjąc, rycząc, z bagnietami na sztorc, to nacierali oficerowie z szablami, to żołnierze niosący proste drewniane schodki, żeby łatwiej pokonać zasieki, zdeterminowani, by wdrzeć się na teren zajęty przez wroga i odbić nowo wybudowane lotnisko** leżące kawałek za linią obrony, będące powodem, dla którego się tu znaleźli i dlaczego to wszystko się działo.

Fakt, że skończyło się to taką masakrą, wyniknął z dwóch powodów. To, co czyniło japońską piechotę tak niezwykle skuteczną w obronie – dyscyplina, wytrzymałość, pogarda dla śmierci – w przypadku ataku odnosiło czasem odwrotny, autodestruktywny skutek. Z jednej strony, nie zważając na straty, Japończycy nie przestawali nacierać, napędzani odwagą, przesadnym zaufaniem do własnych sił, desperacją; jakby ofiarą z własnych ciał próbowali dowieść wyższości ducha nad materią***. Z drugiej strony ich przeciwnicy byli

* Chodzi o noce z 24 na 25, 25 na 26 oraz z 26 na 27 października. Snajperzy i grupki zagubionych japońskich żołnierzy pojawiali się tu i ówdzie również w następnych dniach, lecz bitwa była już rozstrzygnięta.

** Przeszacowawszy, w typowy zresztą dla japońskiej armii sposób, własne siły i jednocześnie nie doceniwszy przeciwnika, japońskie dowództwo zapewniało, że lotnisko zostanie zdobyte już 25 października, i zdążyło nawet donieść o zwycięstwie, przez co następnego ranka kilka japońskich samolotów próbowało podejść do lądowania. Piloci zostali szybko wyprowadzeni z błędu.

*** Przekonanie o przewadze woli i ducha nad materią to faszystowska i militarystyczna koncepcja pielęgnowana we wszystkich trzech państwach Osi. Zresztą z coraz gorszym skutkiem.

nieopierzonymi żołnierzami, którzy jeszcze nigdy nie byli na wojnie – członkami gwardii narodowej przerobionymi na żołnierzy – a zatem, z definicji, amatorami*.

Większość nowo powstałych jednostek w amerykańskiej armii zmierzających w tym czasie do Wielkiej Brytanii, Afryki Północnej oraz na Pacyfik powstała w podobny sposób, co batalion Walkera – żołnierze mają za sobą za krótkie szkolenie, a ich dowódcom brakuje doświadczenia, by mogli zrobić z nowicjuszy więcej niż zwykłych chłopców z karabinami. (I zapłacą za to wysoką cenę). 164 Pułk Piechoty miał szansę wyszkolić się lepiej, lecz były dowódca Walkera chodził przez cały czas pijany i skracał ćwiczenia ze strzelania, bo wolał gromadzić na zapas amunicję – by móc później zaimponować swoim przełożonym**.

Wielu oficerów starszych wiekiem zawdzięczało swoje stanowiska kontaktom w świecie polityki, byli niedoświadczeni lub nie nadawali się do tej pracy, a czasem nawet w grę wchodziło jedno i drugie. W miesiącach poprzedzających przybycie na Guadalcanal doszło do wymiany kadr na dużą skalę. Poprzedni dowódca pułku był z zawodu bankierem, lecz w końcu zastąpiono go zawodowym oficerem; wspomnianego już, pijącego na okrągło dowódcę batalionu

* Zwłaszcza jeśli porównać ich z doświadczonymi oddziałami marines utrzymującymi linie zaraz na prawo od kompanii Walkera. To, że ów batalion 164 Pułku Piechoty został przysłany w to miejsce (by zastąpić batalion marines), wynikało z założenia dowództwa na wyspie Guadalcanal, iż następny japoński atak na lotnisko nastąpi z innego kierunku. Przewidywano, że będzie to „spokojny sektor”, odpowiedni dla nowo przybyłych żołnierzy. Co więcej, batalion Walkera był pierwszym, który wziął udział w regularnej bitwie w ramach amerykańskiej kontrofensywy lądowej w wojnie z Japonią.

** Zdążyli zdobyć trochę doświadczenia podczas ćwiczeń w dżungli na Nowej Kaledonii.

prędko wymieniono na jednego z dowódców kompanii; natomiast poprzedni dowódca kompanii był niekompetentnym brutalnym, lecz po bójkach z podwładnymi i buncie żołnierzy został zdegradowany i zastąpił go nowo przybyły kapitan. Ostatnią tego typu czystkę przeprowadzono tuż przed zapadnięciem decyzji, że Walker i jego towarzysze broni mają zostać przerzuceni na Guadalcanal: wówczas aż jedenastu oficerów odkryło, że dopadły ich poważne choroby i prędko poszło na zwolnienie – pośród nich wspomniany powyżej dowódca batalionu oraz jego zastępca. Przyglądanie się takiemu tchórzostwu i niekompetencji musiało być dla żołnierzy wyjątkowo demoralizujące.

Jednak batalion Walkera jest dobrze uzbrojony: przed przerzutem na wyspę przydzielono mu dodatkowo dwanaście ciężkich karabinów, dwa moździerze oraz spory zapas broni ręcznej dostosowanej do starć w bliskim dystansie, szczególnie w dżungli, takiej jak pistolety maszynowe i strzelby. A wszyscy żołnierze – w odróżnieniu od marines siedzących na grzbiecie po prawej – mają po jednym z nowych, półautomatycznych karabinków M1*. (Spora część żołnierzy jeszcze w cywilu dorobiła się opinii znakomitych strzelców). W dodatku pozycje, które objęli, są przemyślane i dobre, wręcz wzorcowo skonstruowane, z szerokimi pasami zasieków

* To wielce pożądana broń, przede wszystkich w szeregach piechoty morskiej, wciąż wyposażonej w stare karabiny Springfield z 1903 roku. Zdarzało się, że marines kradli je kolegom z innych oddziałów. Fakt, że batalion piechoty morskiej znajdujący się tuż obok kompanii Walkera – poetycko i dość swobodnie uwieczniony w serialu telewizyjnym *Pacyfik* opowiadającym między innymi o nagrodzonym Medalem Honoru Johnie Basilone – o mało nie ugiął się pod naporem Japończyków, wynikał z tego, że jednostka była już mocno osłabiona, miała niewiele broni automatycznej, a teren, którego broniła, okazał się trudny i znacząco skracał zasięg strzału: do około 100 m.

z drutu kolczastego w odległości około sześćdziesięciu metrów od ich stanowisk ogniowych.

A zatem hardzi Japończycy* raz za razem szturmowali coś, co już w czasie poprzedniej wojny uczyniło atak praktycznie niemożliwym: zwarte pasy ognia flankowego. Niespotykany dotąd wcześniej nieprzerwany ostrzał z automatycznych i półautomatycznych karabinów wspomagany ogromną liczbą granatów, pociskami wystrzeliwanymi z lekkiej broni artyleryjskiej oraz deszcz ładunków z granatników różnego kalibru stanowił dowód na to, że materia jak najbardziej triumfuje nad duchem, niezależnie od jego siły – a czasem tym dotkliwiej właśnie z tej przyczyny, iż ów duch jest aż taki silny.

Walka była więc mordercza, a w ciemności i chaosie grupki japońskich żołnierzy zdołały się przebić do lotniska wąską drogą dla jeepów biegnącą tuż za stanowiskami Amerykanów. Znalaziono ich tam następnego ranka, po tym, jak w obliczu braku rozkazów, wzajemnego porozumienia, a przede wszystkim z powodu kompletnego wycieńczenia, położyli się spać. Niektórych pozabijano we śnie. Raz po raz zjawiają się kolejni. Odstrzeliwuje się ich jak kaczki. Bez ceregieli.

Teraz jest po wszystkim. Został tylko smród.

W masowym grobie, który żołnierzom z kompanii Charlesa Walkera udało się wykopać w gliniastej ziemi przed *Coffin Corner*, pochowano ponad sto pięćdziesiąt ciał. To niewiele. Trzeba wykopać więcej mogił.

Tego samego dnia żołnierze wysadzają wielki krater kawałek na wschód od tego miejsca. Walkerowi i jego kolegom zbiera się

* Przeciwnicy kompanii Walkera nie byli nieopierzonymi pisklakami. Dywizja po raz pierwszy walczyła w Chinach w 1931 roku, a potem znów od 1937 i brała udział między innymi w masakrze nankińskiej.

na wymioty od przenoszenia strzępów, które do niedawna były ciałami żywych ludzi. Dlatego zadanie to prędko zostało przejęte przez koreańskich niewolników przywiezionych na wyspę przez Japończyków do budowy nowego lotniska – i porzuconych tam po desancie amerykańskich sił*.

Tak, to już koniec. Ostatecznie Walker zdaje sobie z tego sprawę, gdy na miejsce docierają łowcy pamiątek z formacji zaopatrzeniowych i wysocy rangą oficerowie. Wielu ma przy sobie aparaty fotograficzne**.



Baza lotnicza Wyton leży w Huntingdonshire w zachodniej Anglii, około trzydziestu kilometrów na północ od Cambridge, i gdy tylko nadarza się możliwość, żołnierze jadą autobusem do tego pięknego miasta uniwersyteckiego, by się zabawić i podrywać dziewczyny. A gdy, zadowoleni, mocno podchmieleni i – niekiedy – zaspokoiwszy również potrzeby seksualne, zbierają się do powrotu, zawsze zjawia się jakiś mniej lub bardziej szemrany taksówkarz gotów ich odwieźć. Transport jest drogi, bo trzeba kupować benzynę na czarnym rynku, ale wygoda ta jest warta swojej ceny. Nikt nie mówi tego na głos, ale jutro każdy z tych chłopaków może być martwy. Nikt też nie nazywa tego wprost. Oficjalne określenie brzmi *missing* – zaginiony. Sami tak mówią, kiedy któryś z ich kolegów ginie lub nie wraca z frontu. Mają całą listę eufemizmów: ktoś *got*

* Koreańczyków wykorzystywano do tego typu prac już po bitwie nad rzeką Tenaru pod koniec sierpnia.

** Trzeba zaznaczyć, że pamiątki na polach bitew zbierali również walczący tam żołnierze: kolekcjonowali pistolety, szable, talizmany na szczęście, zegarki. Aparaty fotograficzne oficerów budziły zawiść i złość, bo obowiązywał absolutny zakaz ich posiadania i konfiskowano je żołnierzom wyruszającym na front.

the chop, bought the farm, bought it, hopped the twig, gone for six, gone for a Burton.

John Bushby ma dwadzieścia dwa lata i jest strzelcem pokładowym w 83 Dywizjonie RAF Bomber Command. Od dziecka fascynował się lotnictwem. W cywilu pracował jako drukarz typograf, rozpoczął służbę wojskową od składania spadochronów, ale dzięki pracowitości szybko awansował i został strzelcem na pokładzie bombowca. Od początku zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. (Wszyscy byli go świadomi, wszyscy zgłaszali się dobrowolnie). John pisze o tym tak: „Zapewne dokładnie w tamtej chwili* ogarnął mnie ów stan świadomości chroniący wszystkich walczących mężczyzn przed myślą o śmierci: Jasne, że to się zdarza, ale nie mnie”.

Do tej pory sprzyjało mu szczęście. Bushby wyleciał na pierwszą misję niespełna dziesięć miesięcy temu. Przypadek zadziałał na jego korzyść już niejednym razem. I nie tylko w sytuacji, gdy zaszwankował silnik lub nadeszła niesprzyjająca pogoda, nie tylko wtedy, gdy musiał awaryjnie wylądować, gdy pociski obrony przeciwlotniczej wybuchały tuż obok albo tamtego dnia, kiedy niemiecki nocny myśliwiec prawie otarł się o niego, przelatując w odległości kilku metrów, lecz nawet w takich okolicznościach: pewnego dnia on i inny strzelec rzucili monetą, który z nich poleciał na następną misję. Obaj bardzo tego chcieli, ale Bushby przegrał i bombowiec wystartował bez niego. Samolot został zestrzelony i zginęła cała załoga. (John zachował na pamiątkę szczęśliwą monetę). Albo w maju, kiedy wysłano go na szkolenie i ku wielkiemu rozczarowaniu nie załapał się na pierwsze dwa naloty tysiąca bombowców na Kolonię i Essen, a kiedy trzy tygodnie później wrócił do bazy, dowiedział się, że samolot, którym zwykle latał, został zestrzelony i wszyscy zginęli.

* Gdy złożył podanie o przeniesienie do jednostki bojowej.

John Bushby otrząsa się z takich wieści, jak zwykli robić młodzi mężczyźni, ale właśnie tego się od niego oczekuje. To nieodłączny element kultury w Bomber Command, podobnie jak picie, żarty, nieprzyzwoite piosenki, przygodny seks (w żadnej jednostce organizacyjnej wojska nie ma tylu chorób wenerycznych, co w przypadku załóg bombowców*), nieprzechwalanie się odznaczeniami, niekwestionowanie rozkazów i – nigdy i pod żadnym pozorem – nieokazywanie strachu.

A zatem John Bushby latał dalej, z pozoru całkiem niewzruszony, zapewne jednak niespokojny, nierzadko nawet przerażony, lecz ani tego nie okazywał, ani tego przesadnie nie roztrząsał. Jego ówczesna egzystencja, pełna skrajnych kontrastów, musiała mu się wydawać nierzeczywista: jednego wieczoru chodził pijany i zadowolony, następnego wystawiał się na śmiertelne niebezpieczeństwo, potem znów wracał do domu i siedł na imprezę lub wtulał się w czyjeś nagie ciało.



Przed chwilą dopadła go rzeczywistość. Właśnie trwała odprawa przed nocnym nalotem na Niemcy. Bushby rozejrzał się po sali, po twarzach zebranych, zaczął liczyć i zrozumiał, że ze wszystkich pilotów i członków załóg 83 Dywizjonu, z którymi rozpoczął służbę w styczniu tego roku, zostało... dwóch. Jednym z nich jest jego pilot Bill Williams, młody chłopak w wieku Johna, teraz trudny

* Ów fakt niepokoił dowódcę Bomber Command, w związku z czym kilka miesięcy później, w styczniu 1943 roku wprowadził on zasadę, że żołnierzowi, który nabawił się choroby wenerycznej przed zakończeniem „tury” złożonej z 30 misji, odliczanie zaczynało się od nowa, co w praktyce oznaczało wyrok śmierci. Kiedy Air Ministry usłyszało o tej drakońskiej dyrektywie, natychmiast nakazało ją znieść.

do rozpoznania przez piękne, nawoskowane wąsy. Drugim jest on. I opisuje to tak:

Jeszcze nigdy nie uderzyło mnie to z taką siłą jak wtedy i prawie dostałem ataku paniki, poczułem się uwięziony, pozbawiony tchu przez coś, co trzymało mnie w coraz ciaśniejszym uścisku i nie mogłem się przed tym obronić. To nie mogło długo potrwać. Byłem tam, w moich żyłach płynęła krew, moje zmysły działały w pełni, tkanki, mięśnie i mózg pozostawały nieuszkodzone. Żyłem, choć tak wielu zginęło. To nie mogło długo potrwać. Przecież okoliczności nie działały na moją korzyść*. Dlaczego ja? Dlaczego padło na mnie, skoro tak wielu dokładnie takich samych jak ja odeszło, by już nigdy nie powrócić?

Czy Bushby miał wątpliwości względem dalszej służby? Niewykluczone. Ale czy latał dalej? Oczywiście. Zgłosił się nawet dobrowolnie do piętnastu następnych misji.

Teraz jest początek listopada. Od kilku dni utrzymuje się paskudna pogoda. Pada ulewny deszcz, wieje silny wiatr, zdarzają się nawet burze. Wielkie, czterosilnikowe bombowce ze skrzydłami pomalowanymi od spodu czarną farbą stoją w trzech hangarach i na zewnątrz, przy długim pasie startowym, lśnią w deszczu, przywołując na myśl śpiące zwierzęta prehistoryczne. Możliwe, że Bushby korzysta z okazji i jeszcze raz idzie z kolegami się zabawić do któregoś z zadymionych pubów w wioskach sąsiadujących z bazą, St. Ives

* Akurat w tym okresie okoliczności były w istocie bardzo niesprzyjające. W czasie całej wojny zginęło 46 procent załóg Bomber Command, lecz spośród 100 załóg, które rozpoczęły służbę w latach 1941–1942, zaledwie 12 zakończyło swoje „tury” złożone z 30 misji. A z owych 12 tylko około 3 miało przeżyć kolejne 30 misji.

albo Huntingdon, albo udaje się na tańce do Cambridge. Może żołnierze grają w karty lub śpią w siedmioosobowych drewnianych barakach zastępujących im dom, bo gdy wszystko inne zawodzi, zawsze pozostaje błogi stan zapomnienia, jaki zapewnia sen. John Bushby wie, że gdy tylko pogoda się poprawi, trzeba będzie wylecieć na misję.



Powagę położenia włoskiej armii na froncie pod El Alamein można ocenić na kilka sposobów. Jednym ze wskaźników jest fakt, że zaczynają znikać turyści kręcący się po polu bitwy. Wszyscy, nawet rodacy w ojczyźnie znają ten fenomen: jak to mali i wielcy bossowie z partii faszystowskiej przybywają na front, kiedy pachnie zwycięstwem, jak po nim węszą w swoich nowiutkich, niepoplamionych mundurach, a potem, kiedy zostaną już sportretowani przez korespondentów wojennych w bohaterskich pozach i odbiorą przyznane im z niejasnych powodów medale, tak dobrze wpływające na ich kariery oraz ego, szybko się pakują i wracają do domu. Teraz nie został po nich nawet ślad. A zatem musi być bardzo źle. Paolo Caccia Dominiononi prycha z pogardą.

Jest szczupłym, czterdziestosześcioletnim majorem i choć służy w elitarnej Dywizji Spadochronowej „Folgore”, zawsze nosi kapelusik alpejski z piórkiem. Często pali fajkę. Od 23 października, daty rozpoczęcia brytyjskiej ofensywy, 31 Batalion wraz z resztą Dywizji „Folgore” poddany był bardzo silnemu naciskowi aliantów na południowym odcinku.

Caccia Dominiononi, jak wszyscy wyżsi rangą dowódcy po obu stronach linii walk, jest weteranem z lat 1914–1918 – odznaczonym, kilkakrotnie rannym, w dodatku na jednym z cieszących się najgorszą sławą pól bitewnych: na froncie nad Isonzo – a tu, pod El Alamein, wiele przypomina najgorsze momenty poprzedniej wojny:

zamknięte, zamrożone pozycje, zasieki z drutu kolczastego, okopy, a wszystko to jest jeszcze bardziej zamknięte i jeszcze bardziej zamrożone przez setki tysięcy, a raczej miliony min rozmieszczonych przez obie strony w wymyślnych próbach ochrony swoich linii. Kiedy rozgorzała walka, przeszły nawały ostrzałów, deszcze granatów i stalowe burze, najgorsze i najbardziej skoncentrowane od czasów tych, które widziano w 1918 roku, zwieńczone falami piechoty wspomaganymi sunącymi w chmurach kurzu stalowymi kolosami.

Do tej pory dywizja broniła się z zaskakującym powodzeniem, biorąc pod uwagę fakt, że okopała się na rozległym grzbiecie. Nacierająca na nią piechota została zmiażdżona. I to w sposób, który również przywodzi na myśl raczej poprzednią wojnę niż tę, która toczy się teraz. Mimo dramatycznego niedoboru ciężkich dział udało im się utrzymać czołgi na dystans – głównie przy pomocy bomb benzynowych, miotaczy ognia, min i przy wsparciu niemieckich artylerzystów. Ale zapłacili za to wysoką cenę. Ponieśli wielkie straty, nawet w obrębie 31 Batalionu. (W pamięć zapadło mu głównie trzech towarzyszy broni: Rota Rossi, chorąży z dużym psem, zabity podczas wypełniania skrajnie niebezpiecznego zadania na polu minowym na ziemi niczyjej; Santino Tuvo, brodaty kapral, który, mimo że sam oberwał w krtań i brzuch, przez ponad kilometr dźwigał drucha, któremu oderwało nogi; Carlo Biagioli, kwatermistrz, który, gdy znów atakowano ich z powietrza, z jakiegoś niepojętego powodu wyskoczył z okopu i zaczął strzelać z karabinku do nadlatującego myśliwca i, rzecz jasna, zaraz po tym zginął w gradzie kul, „dumnie wyprostowany, przekornie trzymając w ustach zapalonego papierosa”).

Tak, Caccia Dominioni widział to już niejednym razem. To jest walka na wycieńczenie przeciwnika, walka materii z materią, walka na wyniszczenie. Nie ma w niej miejsca na finezję, próżno się w niej doszukiwać sprytnych posunięć. Oznacza wzajemne okładanie się młotem, aż się okaże, kto dłużej wytrzyma.

Akurat w tej chwili tu, na południu panuje względny spokój. Odparto wszystkie dotychczasowe ataki nieprzyjaciela. Co będzie dalej? Może już zwyciężyli? Caccia Dominioni spogląda z grzbietu na ziemię niczyją. W załamujących się promieniach zachodzącego słońca brytyjskie czołgi lśnią tak, jakby odlano je ze szczerzego złota.



To całkiem inny świat; ciemny, ciasny, zamknięty, klaustrofobiczny. Zdominowany przez dwoje zmysłów – węch i słuch. Węch, bo powietrze jest przesycone smrodem niemytych ciał, potu i oleju do smażenia zmieszanego z lepkiem, tłustym odorem diesla. Słuch, bo okręt podwodny zanurzony pod powierzchnią morza jest ślepy na wszelkie możliwe sposoby. I podobnie jak u niewidomego człowieka słuch rekompensuje brak wzroku, również tutaj każdy zarejestrowany dźwięk ma ogromne znaczenie, zostaje poddany interpretacji, niesie ze sobą nadzieję lub strach. Wszyscy milczą, nasłuchują, poruszają się najostrożniej, jak się da.

Operator hydrofonu donosi ze swojego ciasnego stanowiska, że słyszy stłumiony i powoli cichnący odgłos parowca towarowego zmieszany z rosnącymi, wyższymi dźwiękami wydawanymi przez śruby innej jednostki. To może oznaczać tylko jedno: znika potencjalna ofiara i nadciąga niszczyciel. Operator zdaje raport dowódcy okrętu. Jest nim Kapitänleutnant Horst Höltring. Marynarz nie używa jednak określenia „niszczyciel”, lecz „jednostka”. Postępuje się tak w podobnych sytuacjach, by niepotrzebnie nie denerwować załogi. Bo zbliżający się niszczyciel to zawsze zła wiadomość.

Jest niedziela, 1 listopada i niemiecki okręt podwodny U-604 znajduje się na Atlantyku, gdzieś między Azorami a wybrzeżem Portugalii, w pełnym zanurzeniu od godziny 8:23. Musiał zejść głębiej z powodu kolejnego alarmu lotniczego – w miarę jak atakowany

przez niego konwój odpływał coraz dalej na północ wzdłuż wybrzeża Afryki, pojawiało się coraz więcej alianckich samolotów.

Przez pięć dni z rzędu U-604 i siedem innych okrętów podwodnych stopniowo okrążało konwój tak, jak wilki okrążają stado owiec. (Marynarze pływający na U-bootach chętnie sięgają po tę metaforę, bo pasuje do ich nazistowskich wyobrażeń o świecie czerpiących z teorii Darwina: w przyrodzie rządzą najsilniejsi, a słabi nie tylko mogą pójść na dno, oni wręcz powinni tam skończyć. Tego typu grupowe ataki okrętów wojennych nazywano *Wolfrudeltaktik*, „taktyką wilczej watahy”, a w niemieckiej prasie załogi U-bootów określano mianem *Graue Wölfe*, „Szarych Wilków”^{*}). U-604 miał już na koncie zatopienie trzech statków z konwoju. Pierwszym był tankowiec storpedowany 27 października na południowy zachód od Wysp Kanaryjskich, drugim transportowiec posłany na dno trzy dni później, a trzecim niewielki parowiec. Załoga U-boota nie jest w stanie określić, ile zginęło na nich ludzi^{**}. Zresztą trudno orzec, czy w ogóle ją to obchodzi. Na tym etapie niemieckie okręty podwodne wygrywają bitwę o konwój SL 125. Z trzydziestu siedmiu jednostek zatopiły już dwanaście, samemu nie poniósłszy żadnych strat. Jednak BdU^{***} właśnie przysłało rozkaz zaprzestania ataku.

* Każda „wataha” otrzymuje tymczasową nazwę. Ta konkretna to *Streitaxt*, „topór bojowy”. Konwój miał numer SL 125, co oznaczało, że płynął z punktu zbornego Sierra Leone do Liverpoolu. Przewoził rozmaite towary z Ameryki Południowej, Indii i Afryki, między innymi rudę żelaza i zamrożone mięso.

** My możemy to zrobić. Cała załoga tankowca Anglo Maersk uszła z życiem, podobnie było w przypadku parowca Baron Vernon. Transportowiec Président Doumer, oprócz załogi, miał na pokładzie 345 pasażerów. Zginęło 260 osób, w tym kapitan: 51-letni Jean Paul Mantelet.

*** BdU = Befehlshaber der U-Boote (Dowództwo Okrętów Podwodnych), ergo admirał Karl Dönitz we własnej osobie, urzędujący wraz ze swoim

Odgłos śrub nieznannej jednostki cichnie i znika. Höltring wydaje rozkaz wynurzenia do głębokości peryskopowej. W odległości około tysiąca metrów czai się niszczyciel. Po chwili do uszu wszystkich dolatuje znajome „ping” obwieszczające sonar nieprzyjaciela. Jak na ironię, z myśliwego stali się ofiarą. Fala dźwiękowa dociera do śruby okrętu i powraca z nieco cichszym i nieco bardziej matowym „bing”. Namierzono ich. Höltring wydaje rozkaz pełnego zanurzenia. Tak jak trzeba.

Wszystkie działy wiedzą, co robić. Dziobowy zbiornik trzymający na „zanurzenie”, rufowy na „zero”; otwarcie odpowietrzników; zbiornik nabiera wody; dziób okrętu opada w dół i w dół, wszyscy się trzymają, by się nie wyrzucić podczas ostrego zanurzania; schodzą „do piwnicy”, jak mawiają marynarze na U-bootach. Tymczasem sonar niszczyciela powtarza swoje „ping” i „bing” w coraz krótszych interwałach – zmierza prosto w ich stronę.

Dowódca Horst Höltring służy na okrętach podwodnych dopiero od dwóch lat i nie zalicza się do grona słynnych „asów U-bootów” pokazywanych niemal we wszystkich kronikach filmowych. Nie brak mu jednak kompetencji i jest lubiany przez załogę, bo nie naraża jej na niepotrzebne ryzyko – a to częsta cecha u młodych dowódców okrętów podwodnych spragnionych sukcesów i wymarzonego Krzyża Rycerskiego. Mimo to Höltring jest niespokojny i pije odrobinę za dużo, co zdradza silne napięcie. Zawsze chodzi po pokładzie uzbrojony, a to nietypowy zwyczaj. Wśród załogi krąży plotka, że kiedyś, po pijaku, postrzelił się w stopę.

niewielkim sztabem w wielkiej willi w Lorient. Powodem przerwania ataku była coraz większa aktywność alianckich samolotów. Poza tym wiele okrętów podwodnych zostało uszkodzonych bądź też brakowało im paliwa lub amunicji.

I podczas gdy dowódca cieszy się sympatią załogi, jeden z jego oficerów jest przez nią szczerze znienawidzony. Nazywa się Herman von Bothmer, jest doktorem uniwersytetu w Berlinie, byłym esesmanem i bardzo zdolnym flecistą amatorem. Fakt, że Bothmer jest zagorzałym nazistą, nie powinien stanowić problemu – większość członków załogi U-bootów wyższego i niższego stopnia to ochotnicy wierni reżimowi, odurzeni jego dogmatami, zgodnie z którymi wojna to najwyższe dobro, i tym podobnymi przekonaniami. Marynarzom nie pasują jego pedantyzm i skłonność do wymierzania kar. W cuchnącym wnętrzu okrętu podwodnego, tak ciasnym, że niewielu może chodzić z wyprostowanymi plecami i wszyscy tłoczą się niczym sardynki, powstaje quasi-demokratyczna wspólnota, równie wymuszona, co intymna, wymagająca od wszystkich – by móc sprawnie funkcjonować – dobrej woli i wzajemnej troski. (Odzwierciedla to ubiór marynarzy: niewielu nosi przepisowe umundurowanie, miesza się ono z cywilnymi częściami garderoby, a oznaczenia stopni widać tylko raz na jakiś czas). W takich okolicznościach natrętne czepianie się o drobiazgi psuje krew.

Na głębokości około stu metrów zostaje wydany rozkaz, by odpowietrzyć zbiorniki balastowe. Na jakiś czas wszystkie inne odgłosy giną w dobrze znanym szumie sprężonego powietrza. Okręt uzyskuje balans wzdłużny. Prędkość minimalna. Wszystko zgodnie z wytycznymi. Trzeba oszczędzać energię. Niszczyciel przepływa nad nimi po raz pierwszy. Zrzuca bomby głębinowe.

Na zdjęciach zrobionych w podobnych sytuacjach widać, jak większość załogi instynktownie spogląda w górę, jakby dało się coś dostrzec nad głową. W końcu słyszą i czują jeden, dwa, trzy, cztery... siedem eksplozji – huk jest ogłuszający, bo dźwięki lepiej rozchodzą się w wodzie niż w powietrzu. Zanurzenie sto trzydzieści metrów. Höltring zarządza zmianę kursu. U-boot zawraca i powolutku się

wynurza. Metalowa konstrukcja trzeszczy i zgrzyta. Po chwili wraca niszczyciel. Zrzuca kolejne bomby. Sekundy ciągną się w nieskończoność. Zanurzenie sto dziesięć metrów. Jedna, dwie, trzy... znów siedem eksplozji. Tym razem huk był jeszcze głośniejszy, ciśnienie jeszcze większe. Pękają żarówki. Światło migocze. Zapada cisza. I ciemność. Wszyscy nadstawiają uszu. Nasłuchują.

U-boot powoli przewierca się przez wodę. Pojawia się drugi niszczyciel. Słychać kolejne wybuchy.

Cztery godziny później U-604 wynurza się na powierzchnię, w jednym kawałku, nie licząc uszkodzonej pompy żęzowej i drobnych usterek systemu odpowietrzania. Niszczyciele zniknęły. Załoga oddycha z ulgą, gdy otwiera się właz i do środka wpada świeża bryza. Marynarze właśnie przeżyli swój pierwszy ostrzał bombami głębinowymi.



Kiedy z początkiem roku Warner Bros. rozpoczęło prace nad filmem, nie zapowiadało się na nic szczególnego ani w kwestii oczekiwań związanych z tą produkcją, ani w związku z jej budżetem, ani tym bardziej w kontekście promocji. Miał to być kolejny film klasy B z takowymi aktorami w rolach głównych, zwyczajna, trzymająca widza w napięciu romantyczna opowieść z wojną w tle. Od kwietnia amerykański przemysł filmowy wypuścił dwadzieścia osiem produkcji o szpiegach, sabotażystach i zdrajcach, kolejnych dziewiętnaście jest w fazie przygotowań. Hollywood przyłączyło się do wojny z ogromną energią, mimo konieczności nagłego – i nieoczekiwane udanego – podporządkowania gospodarki celom wojennym, oznaczającej mnóstwo ograniczeń, dużych i małych, istotnych i mniej dotkliwych.

Przykładowo, skutek regrantacji benzyny i kauczuku ani aktorzy odgrywający główne role, ani reżyser nie są wożeni na plan

zdjęciowy limuzynami i muszą, wraz z resztą pracowników studia, jeździć autobusem. Ograniczenia w dostępie do tekstyliów zmusiły dział kostiumowy do rezygnacji z drogich tkanin – to pierwszy film, w którym wszyscy, bez wyjątków, noszą bawełniane stroje. Ilość nieobrobionego materiału zdjęciowego musiała zostać zredukowana o dwadzieścia pięć procent, w dodatku odgórnie ograniczono koszty jednorazowej scenografii do pięciu tysięcy dolarów i znacznie trudniej kręci się na zewnątrz – dla przykładu: na wysuszonych wzgórzach wokół miasta, po których przez lata jeździły zastępy kowbojów, stoi teraz bateria obrony przeciwlotniczej – ale film, z nielicznymi wyjątkami, powstaje w studiu*. Zaraz po rozpoczęciu zdjęć wprowadzono obowiązującą od dwudziestej do szóstej rano godzinę policyjną dla obcokrajowców z wrogich państw takich jak Niemcy, co dodatkowo skomplikowało sprawę, bo większość osób grających w filmie to imigranci z Europy, z czego rozliczni zbiegli przed wojną i Hitlerem**.

Jednak największym ograniczeniem jest fakt, że ów film, jak każdy inny, musi otrzymać pozwolenie na emisję przez nowo powstały

* Pojawiające się raz na jakiś czas doniesienia o „niezidentyfikowanych samolotach” prowadziły do całkowitego zaciemnienia Los Angeles. Tak się stało nocą z 24 na 25 maja, kiedy rozpoczęto zdjęcia do filmu. Panowała bardzo napięta atmosfera.

** Spośród czternastu aktorów, których nazwiska przewijają się na ekranie końcowych i początkowych napisów, tylko troje urodziło się w Stanach Zjednoczonych. Zarazem niemal wszystkie pomniejsze role obsadzono imigrantami lub uciekinierami z Europy. Reżyserem był Węgier Manó Kaminer, który wprawdzie zmienił nazwisko na Michael Curtiz, ale jego osobliwa angielszczyzna zdradzała obce pochodzenie. Na domiar złego ten bardzo zdolny skądinąd człowiek zachowywał się tak manierycznie, że sprawiał wrażenie parodii hollywoodzkiego reżysera – przeklinał, rugał wszystkich, ubrany w bryczesy i oficerki, i nie przepuszczał żadnej okazji, by zmuszać do seksu podległe mu kobiety.

organ cenzury pod nazwą Bureau of Motion Pictures*. Zanim zostanie zrealizowany jakikolwiek film, zaangażowane w niego osoby muszą odpowiedzieć na pytania – po pierwsze: „Czy ten obraz przyczyni się do wygrania wojny?”, po drugie: „Który problem związany z wojną ów film próbuje wyjaśnić, udratyzować albo unaocznic?”. Filmy dzieli się na sześć kategorii uznawanych za niosące korzyści w kontekście oświecania widzów lub prowadzenia wojny. Z uwagi na temat film został przez rzeczony biuro do spraw cenzury przydzielony do kategorii IIIB (traktuje o państwach alianckich, B oznacza, że są one okupowane) oraz podkategorii IIC3 („Enemy – Military”).

Produkcja jest już gotowa. Tydzień wcześniej została zaprezentowana czteroosobowemu gronu cenzorów. Zaakceptowali ją, nie kryjąc entuzjazmu. Napisał w raporcie, że podkreślona jest w niej „potrzeba podporządkowania osobistych dążeń misji zwycięstwa nad faszyzmem” oraz że wyraźnie „ilustruje ona chaos i koszmar, jaki niosą ze sobą wojna i faszyzm”. Na pochwałę zasługiwał szczególnie fakt, iż obraz ten przedstawiał Stany Zjednoczone jako „kraj wolności dla uciskanych i bezdomnych”. Cenzorom podobało się również, że amerykański protagonista w filmie zwalczał faszyzm jeszcze przed 1939 rokiem, co miało skłonić widzów do refleksji, że „nasza wojna nie rozpoczęła się od ataku na Pearl Harbor i że korzenie agresji sięgają o wiele dalej wstecz”.

Nie ma żadnych przeciwwskazań. Produkcja dostaje zielone światło. Można szykować premierę. Zgodnie z planem ma się ona odbyć za dwa miesiące. Wówczas minie prawie rok, odkąd wytwórnia Warner Bros. nabyła prawa do sztuki teatralnej, na bazie której

* Było ono bezpośrednio podporządkowane Biuru Informacji Wojennej (Office of War Information), potężnej, choć równie nowej instytucji do spraw propagandy.

powstał film: *Everybody Comes to Rick's*. Producent filmu Hal Willis nadał mu jednak krótszy tytuł, który – na co liczył – o wiele lepiej się sprzedaje: *Casablanca*.



Najpierw to zwykła żwirowa dróżka prowadząca przez otwarty teren. Wije się między ogrodzeniami i szarymi, niemalowanymi drewnianymi chałupami. Niezbyt szeroka, lecz przejezdna dla większości pojazdów. W którymś momencie żwir przechodzi w utwardzenie z drewnianych kłód, a dalej jest już tylko błotnista leśna droga. Prowadzi prosto w gęsty od zarośli las liściasty, biegnie przed siebie, aż do pierwszych bunkrów pod pagórkem po lewej stronie; tam jest kryjówka kompanii.

Teren jest tu stosunkowo płaski i otwarty, rozległe bagna przetykają nagie brzoźowe zagajniki drżące w podmuchach zimnego wiatru. Droga robi się coraz węższa, biegnie szerokim łukiem ku kilku niższym wzniesieniom, mijają bunkier dowódcy kompanii, za nim przechodzi w ścieżkę i się rozgałęzia. Prawa odnoga ginie w okopie wspinającym się na wzniesienie, a na jego szczycie, pośród zarośli i rzadkich jodeł, nad płynącą przez podmokły teren rzeczką, znajduje się baza Orren. Stacjonuje w niej 2 Półpluton 1 plutonu, łącznie trzydziestu pięciu ludzi, część z 9 Kompanii Strzelców 3 Batalionu 61 Pułku Piechoty. Jest początek listopada i we wschodniej Karelii nastąpiła wczesna zima.

Żołnierze nie używają słowa „front”. To termin dla dziennikarzy i ludzi siedzących w domach. Semantycznie bardzo niejasny. „Front to obszar sięgający dziesiątki kilometrów w głąb. Istnieje również wiele stref frontu wewnętrznego. Kompania frontem wewnętrznym nazywa batalion, batalion określa tym mianem pułk, pułk dywizję i tak dalej, aż do samych Helsinek. Istnieje jednak

słowo oddające całe okrucieństwo wojny. Linia”*. I właśnie tu ona się znajduje.

Jednym z młodych mężczyzn służących w półplutonie jest Kurt West. Mieszka na tym pagórku już od półtora miesiąca. Miejsce to nie ma innej nazwy niż „Orren” (Cietrzew). Kawalek na wschód leży „Ugglan” (Sowa), a na zachód „Järpen” (Jarząbek), „Dammen” (Tama), „Slussen” (Śluza), „Tröskeln” (Próg) i następne bazy, ulokowane niczym perły w naszyjniku w odstępach kilkuset metrów, nieraz w zasięgu wzroku od obrośniętej lasem rzeki Świr. Działania w tym miejscu są zamrożone prawie od roku – od zeszłej jesieni.

To, co się tutaj dzieje, rzadko doczekuje się wzmianki w prasie. I w ogóle nieczęsto ktokolwiek o tym wspomina. Tkwiący tu młodzi mężczyźni czują się zapomniani. Dziesiątki tysięcy praktycznie anonimowych fińskich żołnierzy wegetują w dziczy, z dala od na pozór beztroskiego życia, które zostawili w domach: sklepowych szyldów, tramwajów, kin, kabaretów, tanga w klubach tanecznych, otwartych do późna kawiarni, barów pełnych swingujących par, klubów dyskusyjnych, koncertów, turniejów piłki ręcznej i codziennych zmartwień takich jak: czy wystarczy nam wszystkim dorsza marynowanego w ługu na Boże Narodzenie?

Fińscy żołnierze mają prawo czuć się zaniedbani. Rzadko dostają przepustki. Od dawna nie dostarczono im ubrań na zmianę, więc ich szare mundury są brudne, podarte i połatane. Dlatego coraz częściej noszą cywilne ciuchy, co przydaje im niemilitarnego wyglądu. Jedzą w kółko to samo – z reguły owsiankę z dodatkiem tego, co akurat udało się zdobyć. (West już zrozumiał, że całe lepsze jedzenie zostaje

* Słowa Gunnara Johanssona, fińskiego, szwedzkojęzycznego porucznika i reportera wojennego, zabitego na froncie nad rzeką Świr 15 maja 1942 roku.

gdzieś po drodze, na wcześniejszych etapach, a żołnierze na linii zawsze dostają to, co się ostało). Na dodatek został wyznaczony nowy dowódca pułku, fińskojęzyczny pułkownik nazwiskiem Marttinen, uważany za surowego i wymagającego.

Fakt, że dowódca jest fińskojęzyczny, wzmógł niezadowolenie w szeregach, ponieważ w 61 Pułku Piechoty służą szwedzkojęzyczni żołnierze z zachodnich części Finlandii, po szwedzku prowadzi się całą dokumentację, po szwedzku rozmawia się w okopach i bunkrach. West jest dziewiętnastoletnim synem rolnika z Esse w regionie Ostrobotnii i tak samo jak jego towarzysze z pułku posługuje się fińską odmianą języka szwedzkiego. W bazie panuje dość nieformalna dyscyplina, to samo dotyczy zwracania się do oficerów. Zwykle zapomina się o salutowaniu.



Mandalaj, dawna królewska stolica Birmy położona na wschodnim brzegu rzeki Irawadi, już na długo przed wojną miała romantyczny urok podupadłego miasta, lecz wojna zmieniła je w prawdziwą ruinę. Część dzielnic opustoszała, w części zostały tylko gruzy*. Mun Okchu jest właśnie tam. Nie po to, by zobaczyć to, co ostało się ze wspaniałego, drewnianego pałacu, malowniczych klasztorów, buddyjskich wież i blankowanych murów. Wraz z siedemnastoma innymi Koreankami jest praktycznie uwięziona i odizolowana od świata w dwupiętrowym budynku na obrzeżach miasta. Traktuje się je tak, jakby były zakażone jakąś śmiertelną chorobą. Dom, w którym przebywają, ma swoją nazwę, jest ona nieformalna i brzmi jak eufemizm: Gospoda Taegu.

* Zanim w 1942 roku do miasta wkroczyli Japończycy, zbombardowali je, choć było pozbawione obrony. Zginęło wówczas około 2 tys. cywilów i spłonęły trzy piąte zabudowań.

Na parterze mieszczą się wielka łaźnia oraz biuro, w którym mieszkają i urzędują koreańscy zarządcy tego miejsca, pan i pani Matsumoto. (W rzeczywistości nazywają się Song, ale podobnie jak wielu Koreańczyków w służbie Japończyków, przyjęli japońskie nazwisko). Pan Matsumoto często chodzi ubrany na zachodnią modłę, w garnitur i krawat, jeśli tylko pozwala na to pogoda, nosi też niskie skórzane buty. Mun i pozostałe dziewczęta jadają na parterze. Proste i dość monotonne posiłki przyrządza im Birmanka. Nie serwuje im ngapi, mohingi, gwin thok ani podobnych lokalnych dań, tylko ryż lub zupę, czasem trochę mięsa z dodatkiem dzikich warzyw uzbieranych na okolicznych wzgórzach. Nad wspólną spiżarnią panuje pan Hondamineo, a ponieważ Mun jeszcze z czasów spędzonych w Chinach dobrze wie, że ktoś taki może czasem uratować życie, dba o dobre układy z tym człowiekiem.

Na piętro wchodzi się po drewnianych schodach. Na górze znajdują się duży hol i osiemnaście boksów. Ściany między nimi wykonane są z włókiennych mat, nie sięgających aż pod sam sufit. Za drzwiami służą zasłonki z materiału. Boksy są tak ciasne, że nie mieści się w nich praktycznie nic oprócz wiaderka, kosza i materaca. W każdym stoi też butelka z różowym płynem. Ma dziwny, lekko duszący zapach środka dezynfekującego zmieszanego z... no właśnie, z czym?

Już w trakcie śniadania Mun Okchu i pozostałe dziewczyny widzą przed drzwiami do budynku kolejkę znieczepionych żołnierzy. Posiliwszy się, młode kobiety idą do swoich boksów. O dziewiątej otwiera się drzwi dla mundurowych. Jeden z nich przychodzi do Mun Okchu. Wręcza jej brązowy kartonik z numerkiem. Mun upewnia się, czy jej gość ma przy sobie prezerwatywę. Potem kładzie się na materacu i rozchyła nogi. Ma osiemnaście lat.

